““# GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 STYCZEŃ 1936 R.

NR. 2 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 2
1936 R.
15 — I

JÓZEF PONIATOWSKI

KOMPROMIS i OPORTUNIZM

Kompromis rozsądnie stosowany jest niezbędnem narzędziem każdej polityki, także polityki gospodarczej. Stosowany oportunistycznie stawia pod znakiem zapytania dodatni kierunek ewolucji gospodarczej.

Za największą zaletę premjera Baldwina poczytuje mu opinja własnego kraju zdolność znalezienia w każdem położeniu rozsądnego kompromisu pośród sprzecznych interesów i dążeń. „Człowiek kompromisu", to zdaniem Anglików polityk realny, który szukając „złotego środka" zapewni linji rozwojowej największą stateczność, sprowadzi próby nadmiernych odchyleń do wspólnej osi. Tą statecznością, ciągłością ogólnego kierunku polityki pomimo wahań przy zmianie rządów, chlubi się angielskie społeczeństwo.

U nas inaczej. Polityk, któregoby nazwano „człowiekiem kompromisu" uczułby się obrażony. Kompromisowość w niskiej mamy cenie, podobnie jak „złoty środek". Opinja wie wprawdzie, że polityka jest w dużej mierze sztuką kompromisu, ale niebardzo się chce z tem godzić. Uważa kompromis w zasadzie za zło, niekiedy konieczne. Łatwiej zdobyć w Polsce popularność niedorzecznem ale sympatycznem hasłem walki z wszelkim kompromisem niż szukaniem właściwego kompromisu. Trudno się temu dziwić: mimo tysiącletniej kultury lubimy się uważać za naród młody, sprzyja temu zerwana tradycja, brak doświadczenia. Młodzież zazwyczaj nie w wysokiej ma cenie umiar — cechujący wiek dojrzały.

Nie zmierzam tu bynajmniej do stawiania kompromisu na piedestale, lub twierdzenia, że jest zbyt rzadko stosowany przez polską politykę gospodarczą. Możnaby łatwo odnieść wrażenie, że jest przeciwnie. Jeśli spojrzymy retrospektywnie na politykę angielską, widzimy pomimo skłonności do kompromisów wyraźne kierunki, konsekwentnie realizowane w okresach kilkudziesięcioletnich, niezależnie od tego, czy większość przychylała się na stronę whighów, torysów, czy nawet labourzystów. Nie ma tu niezmienności, bo zmienia się rzeczywistość i w naszych już oczach dokonał się np. ostatnio wielki zwrot w angielskiej polityce gospodarczej. Zwrot jednak dokonany znowu obowiązuje, zanim się nie zmienią zasadniczo warunki objektywne, a z niemi układ sił. Polityka Albionu, w ogólnym zarysie, wciąż nosi jakiś zdecydowany charakter, realizuje łatwe do wykrycia cele, a sądząc, po skutkach, wcale nieźle służy mnożeniu bogactwa narodowego. Cechą polskiej polityki gospodarczej, na tle społecznej niechęci do kompromisu, jest taki brak charakteru, wyraźnego kierunku, jako-tako uświadomionego celu choćby na dystansach kilkuletnich, jakgdyby właśnie u nas rządził wszystkiem wszechwładnie — kompromis.

Postawa uczuciowej negacji wobec kompromisu jest dziecinnadą, postawa bezkrytycznego uwielbienia byłaby ślepotą. Kompromis jest poprostu jedną z niezbędnych metod postępowania, narzędziem pracy, dobrem i użytecznem, gdy jest stosowane na miejscu i właściwie, szkodliwem, gdy się je stosuje nieumiejętnie albo w położeniu wymagającem przeciwstawnej metody, tj. czystego wyboru. Dlatego sądzę, że zamiast prymitywnie sobie zarzu-

cać brak albo nadmiar skłonności do kompromisu, powinnibyśmy częściej się zastanowić nad sposobem stosowania tego narzędzia.

Dość często bywa głoszona zasada, że kompromis wolno stosować do środków działania, nie zaś do jego celów. Nie widzę użyteczności takiego sformułowania. Każdy cel gospodarczy jest wszak środkiem do osiągania celów ponadgospodarczych. W samej też dziedzinie gospodarczej nie znajdziemy celu, od któregoby w żadnem położeniu nie należało czynić ustępstw. Takim celem może być dopiero państwowa racja stanu.

Wartość praktyczną miałoby natomiast stałe wykonywanie takiej prostej recepty: *kompromis jest tam dopuszczalny, gdzie jego istotą jest rezygnacja z całkowitego osiągnięcia celu mniej ważnego, potrzebna dla realizacji celu ważniejszego.* Jest to wprawdzie truizm: nikt przecie nie broni poglądu, jakoby należało rezygnować z celów ważniejszych dla mniej ważnych. Dlatego właśnie przywiązuję wagę nie do sformułowania, ale do wykonywania tej zasady.

Nie jest to wcale rzeczą łatwą. Taka jest ułomność ludzkiej natury, że bardziej jesteśmy wrażliwi na zjawiska bliskie w czasie i przestrzeni, działające bezpośrednio na zmysły, albo na wyobraźnię, chociażby o małej wadze społecznej niż na skutki choćby doniosłe, ale dające się wykryć dopiero poprzez dłuższe rozumowanie. Innemi słowy, hierarchja naszego odczuwania jaskrawo się różni od hierarchji ważności dla przyszłego rozwoju narodowego. Na tem polega egoizm jednostkowy, grupowy, zawodowy, regjonalny, który już Skarga genjalnie utożsamił z krótkowzrocznością, z głupotą (w kazaniu o tonącym okręcie). Na tem polega stały konflikt między interesem dnia dzisiejszego i przyszłych pokoleń, na tem polega, że przemijające zjawiska konjunkturalne wywołują nieporównanie żywszą reakcję od często doniośléjszych przekształceń strukturalnych. Skoro zaś cele wielkiej wagi zazwyczaj są realizowane w bardzo długich etapach, nie mają cech doraźnej aktualności, przeto rzadko mają one siłę samoczynnego oddziaływania racjonalnego, raczej w wyjątkowych okolicznościach są odczuwane jako naprawdę ważniejsze dla każdego obywatela. Wartość uczuciowa niektórych ważnych celów gospodarczych jest tak mała, żeześrodkowanie energji dostatecznej dla ich realizacji wymaga wielkiego wysiłku propagandowego w szerokiem rozumieniu tego wyrazu. Byliśmy świadkami takiego udanego wysiłku uświadamiającego społeczeństwu zapomocą Gdyni długo nierozumiane znaczenie morza. Widzieliśmy, że niekiedy udaje się nadać dużą wartość emocjonalną celom, błędnie postawionym, jak autarkja, albo czynne saldo bilansu handowego. Widzimy równocześnie bezskuteczność dotychczasowych prób skondensowania energji społecznej około tak podstawowego, decydującego o naszej przyszłości celu, jak kapitalizacja wewnętrzna.

Stąd widzimy, że niepodobna wymagać od każdego obywatela, a nawet od każdego wykonawcy polityki gospodarczej, tworzenia hierarchji celów według ich ważności publicznej. Dodajmy, że ów wykonawca polityki znajduje się w ogniu walki interesów, pod naciskami ugrupowań, usiłujących wpłynąć na jego decyzję. Jeżeli nie otrzyma orjentacji, które cele państwowa racja stanu uważa za hierarchicznie wyższe w danym okresie czasu od innych, niepodobna się dziwić, że kompromisy, które będzie popełniał, będą często sprzeczne z wyżej sformułowaną truistyczną zasadą. Tak, jak dziś rzeczy stoją, nie wiemy nawet, czy sama ta zasada zajmuje w hierarchji jakieś poczesne miejsce. To pewne, że jej wartość emocjonalna, nietylko w Polsce, ale i na całym świecie jest dziś nader nikła, i bodaj zanika coraz bardziej. Dlatego kardynalną cechą, charakteryzującą zarówno politykę międzynarodową, jak wewnętrzną wszystkich niemal państw współczesnych jest *oportunizm.*

Oportunizm jest zaprzeczeniem wyżej podanej zasady dobrego kompromisu, jak i wszelkiej innej. Przez *oportunizm* rozumiem *kompromis, którego istota polega na rezygnacji, zwykle częściowej z celu ważniejszego na korzyść celu mniej ważnego.* Tak pojęty oportunizm, jak wynika z definicji, jest szkodliwy zawsze i wszędzie. Gdy ludzkość uświadomi sobie grozę rozpanoszenia się oportunizmu, będzie musiała walkę z nim postawić w hierarchji celów bardzo wysoko. Dziś jest na to zawcześnie. Zrozumienie zjawiska nie dojrzało, nie ma ciężaru uczuciowego. Ludzie nie dostrzegają jeszcze związku między oportunizmem a trapiącemi ich na codzień dolegliwościami. Mało ich poruszone zagadnienie interesuje. Nie zmniejsza to obowiązku publicysty przedstawiania stanu rzeczy tak, jak go widzi.

Najskuteczniejszym środkiem powstrzymywania oportunizmu masowego w wiekach ubiegłych, były t. zw. zasady postępowania, t. zn. instytucja użytkowa, polegająca na postanowieniu określonego zgóry sposobu postępowania wobec określonych okoliczności. Stosowanie się do zasad daje olbrzymią oszczędność energji społecznej, ponadto wprowadza w stosunkach międzyludzkich czynnik pewnej obliczalności, pozwala bowiem spodziewać się jak w określonych okolicznościach zachowa się bliźni, a w szczególności spodziewać, czego bliźni nie uczyni. Na zasadach postępowania opiera się całe istnienie zorganizowanych społeczeństw, jak i współpraca międzynarodowa.

Stosowanie zasad stanowi jednak czynnik krępujący. Koliduje z mnóstwem doraźnych interesów jednostkowych i grupowych. Nadto, rozmaitość życia nie może się w jakimkolwiek szablonie pomieścić, zdarzają się więc okoliczności, gdy zasada nakazuje postępowanie, które przy jej nieistnieniu uznalibyśmy za niedorzeczne. To też zasady musiały być poparte przez sankcje ze strony religji, władz państwowych, opinji publicznej.

Łatwo zauważyć, że jednostka posiadająca i umiejąca stosować własną, wyraznie skrystalizowaną hierarchję ocen nie kolidującą z potrzebami społeczeństwa nie potrzebowałaby posługiwać się zasadami. Takie jednostki są wprawdzie zjawiskiem zupełnie wyjątkowem, ale zato nieporównanie liczniejsi są ci, którzy wprawdzie nie umieją ani stworzyć ani zrealizować systemu ocen, zato uwa-

żają stosowanie zasad za śmieszny przeżytek, ponad który czują się wyżsi. Rewizjonizm, tak pożyteczny w posuwaniu naprzód dociekliwej myśli ludzkiej, pożyteczny również w przekształceniu zasad zgodnie z koniecznością ewolucji, wyraził się, niestety, w ostatnich latach kilkudziesięciu w deprecjonowaniu zasad istniejących przed ich zastąpieniem nowemi. Człowiek współczesny ma zasady postępowania w głębokiej pogardzie. Stosuje te, za któremi stoi sankcja karna, o ile nie spodziewa się jej ominąć, nadto te, które mu weszły w przyzwyczajenie, a nie zostały jeszcze świadomie wykorzenione. Należy jednak przyznać, że lekceważenie zasad poczyniło znacznie większe postępy w życiu publicznem niż w prywatnem. Możność uzasadnienia łamania zasad celem publicznym, choćby błahym i doraźnym, doprowadziła do tego, że współczesne państwa są czynnikiem o wiele bardziej nieobliczalnym niż poszczególni obywatele, którzy dopiero idą za tym przykładem.

Zgodność z zasadą przestała być argumentem coś znaczącym w polityce, choćby sama zasada nie była jeszcze podawana w wątpliwość. Polityk, który nieostrożnie powołuje się na zasadę, może być pewien ośmieszenia, jako „pryncypjalista". Pryncypjalizmem nazywamy zwykle ślepe i nieelastyczne stosowanie zasady ze szkodą celów hierarchicznie od niej wyższych. Rzecz prosta, że o ile szacujemy zasadę nisko, a doraźny cel sprzeczny z zasadą — wysoko, wówczas każdą obronę zasady możemy uznać za pryncypjalizm. Podobnie, jeżeli przeciwnik jakiegoś pomysłu powołuje sę nie na zasadę, ale na mechanizm praw ekonomicznych, to go się mianuje „doktrynerem", albo nawet „teoretykiem". Są to epitety wystarczające zazwyczaj do odrzucenia argumentacji wymagającej pewnego wysiłku myśli. To też nagół polityk gospodarczy chętniej się przyzna do oportunizmu, niż pozwoli, by go uważano za teoretyka. W stosunkach polskich liczba teoretyków ekonomji, podobnie, jak i liczba wyznawców jakiejś doktryny jest tak znikoma, że o ich poważniejszym wpływie na politykę niepodobna poważnie mówić. Pryncypjalistów nieco się znajdzie, ale i to zjawisko ma nikłe znaczenie w porównaniu ze spustoszeniem, czynionem przez oportunizm, płynący z braku zarówno zasad jak i doktryny.

Niebezpieczeństwo oportunizmu wynika w dużej mierze z jego lawinowości. Poważne cele rozwojowe nie byłyby bardzo osłabione przez sporadyczne wypadki ich pominięcia dla doraźnego efektu, ale sam przykład oportunizmu, jako metody pracy publicznej, jest wysoce zaraźliwy i doprowadza wreszcie do zupełnego zaniedbania owych doniosłych, ale odległych zadań. Zasada przewagi wielkich celów nad małemi, jak każda inna zasada, póty ma wartość, póki jest naprawdę zasadą, tj. dopóki trwa przekonanie o trudności jej naruszenia. Podobnie jak niewinność, gdy uzyska opinję, że łatwo idzie na kompromisy, jest skompromitowana, traci zarówno wartość jak i siłę dalszego oporu. Ponadto upadek kilku zasad, albo zaniechanie kilku zadań hierarchicznie ważnych, nie wskutek celowego ich zastąpienia innemi, ale jako skutek oportunizmu, odbiera realność innym zasadom i celom. Pozornie odosobnione posunięcia oportunistyczne pociągają za sobą całe łańcuchy skutków. Tak np. istniała niegdyś zasada udzielania gwarancji państwowej tylko interesom o dużym stopniu pewności. Z oportunistycznych względów raz i drugi pominięto tę zasadę. Skoro okazało się to wcale nietrudne i nie sprowadziło natychmiastowej katastrofy, utarło się zupełne poniechanie zasady. Można pomóc przedsiębiorstwu x, albo ułatwić tranzakcję y bez wydatku ze strony Skarbu — byłoby „pryncypjalizmem" tego nie zrobić. Skoro jednak przedsiębiorstwa dłużne za poręką Państwa znalazły się w obliczu upadłości — jakże ich nie ratować, gdy inaczej należności staną się natychmiast wymagalne. Tak za jedną zasadą pada druga — sankcji gospodarczej wobec niewypłacalnych dłużników. Stąd juz krok tylko do upadku jednej z podstawowych zasad, na których się opiera nasz system gospodarczy — zasady dotrzymywania zobowiązań, równocześnie zaatakowanej skutecznie przez oportunizm na wielu innych polach.

Oportunizm jest najważniejszym, a w każdym razie jednym z najpoważniejszych czynników twórczych naszej dotychczasowej polityki gospodarczej. Oto parę przykładów, świadczących, że niema w tem przesady.

Zarówno zwolennicy, jak przeciwnicy etatyzmu zgodzą się może, że decyzja czy i w jakim zakresie Państwo pragnie być przedsiębiorcą powinna być powzięta jako skutek rozważania wielu przesłanek, jako ważna wytyczna dla rozwoju strukturalnego na długie lata, a dopiero na tej podstawie powinny być pobudowane czy zakupione odpowiednie przedsiębiorstwa. Cechą jednak polskiego etatyzmu jest, że się nikt do niego nie przyznaje. Przeciwnie: słyszeliśmy wielokrotnie oficjalne zapewnienia, że rząd jest przeciwny etatyzmowi, a istniejący etatyzm powstał wbrew woli rządu. Państwo udzieliło kredytów albo gwarancyj, wystrzegając się wszelkiego pryncypjalizmu, a w konsekwencji musiało przejmować przedsiębiorstwa jako jedyne pokrycie należności. Przedsiębiorstwa te często prowadzono przez wiele lat ze stratami znowu nie dla innego określonego celu, jak dla uniknięcia doraźnej przykrości — spisania przepadłej wierzytelności na straty. Wolno więc twierdzić, że właściwym twórcą polskiego etatyzmu jest oportunizm.

Zajrzyjmy do taryfy celnej. Przez wiele lat posługiwaliśmy się taryfą obcą, modyfikowaną od wypadku do wypadku w miarę rosnących żądań ochrony ze strony poszczególnych grup. Rządził tu oportunizm najczystszej wody. Czy własna taryfa z dn. 23 sierpnia 1932 r., owoc wielkiej i żmudnej współpracy rządu z organizacjami gospodarczemi, zmieniła ten stan rzeczy? Wykonano piękną i cenną pracę w zakresie nomenklatury, układu treści, zgładzono pewne jaskrawe nielogiczności w szczegółach. Ale kto w Polsce może odpowiedzieć, jakie zadanie gospodarcze ma wykonać nowa taryfa? Jakie cele usiłuje się przy jej pomocy realizować? Co wogóle można zrealizować poza zniszczeniem zdolności konkurencyjnej, gdyby się udało „spra-

wiedliwie" podnieść ceny wszystkich towarów? Wiemy, że na pytanie o korzyści z taryfy padnie większość odpowiedzi, że umożliwia ona produkcję w Polsce, upośledzonej co do klimatu, gleby, kapitału i t. d. Nie jestem jednak skłonny uwierzyć, aby promieniowanie naszych ceł naprawdę ożywiało wzrost roślinności, albo obniżało stopę od kapitału. Wyrównanie upośledzeń *całej* produkcji nie może być celem taryfy, bo jest logiczną niedorzecznością. Cóż więc jest tym celem? Wychowanie pewnych gałęzi — nie, bo im się równocześnie szkodzi przez podrożenie produkcji. Obrona przed ew. atakiem dumpingowym — nie, bo we wszystkich zagrożonych pozycjach mamy oprócz tego reglamentację przywozu. Wiemy, że w istocie taryfa celna daje bardzo wiele głównie wielkiemu przemysłowi zorganizowanemu, stanowiąc konieczną przesłankę monopolizacji rynku, ale wiemy również, że takiego generalnego celu polityka gospodarcza nie wysuwała. Motywy fiskalne usunięto na najdalszy plan. Doskonale zato oddają „hierarchję celów" motywy do poszczególnych wniosków taryfowych. Wystarczy przejrzeć pewną ich liczbę, a choćby przeczytać w „Gospodarce" przykłady, zacytowane przez p. B. Łączkowskiego w art. p. t. „Czosnek", aby się zgodzić, że twórcą polskiego „systemu" ochrony celnej jest — oportunizm.

Gdyby przesunięcie w podziale dochodu społecznego kosztem rolnictwa a na rzecz wielkiego przemysłu było zamierzone, nie widzielibyśmy dalszych zarządzeń, jak premje wywozowe dla rolnictwa i ustawy oddłużeniowo - moratoryjne. Ich zadaniem jest przecież paraliżowanie skutków ochrony celnej. Są to dalsze skutki oportunizmu. Ich znowu skutkiem są trudności budżetowe, kredytowe i t. d. Oklepany przykład równoczesnego oddziaływania na ceny zbóż w 1928/29 r. przez cła wywozowe i przywozowe wciąż w swej istotnej treści pozostaje aktualny.

Czy można przypuścić, że ktoś mógłby stworzyć rozmyślnie, kierując się jakąkolwiek zasadą, czy jakąbądź doktryną, taką taryfę osobową na P. K. P., by normalne stawki obciążały czwartą część podróżnych? Mogło się to zdarzyć tylko wskutek tego, że każda grupa osobno żądała przywileju i każda go otrzymywała, jako wyjątek. Nie chcę przez to powiedzieć, że oportunizm nie grał roli w układzie taryf towarowych.

To tylko przykłady. Łatwo byłoby je mnożyć. Znacznie trudniej o takie, gdzie poważne działy polityki gospodarczej byłyby stworzone przez inne czynniki niż oportunizm. Możemy się pocieszać, że w innych krajach jest podobnie. Słaba to pociecha, a zresztą, nie bądźmy zbyt skromni: wszędzie jest oportunizm, ale możemy się śmiało zaliczyć w tym zakresie do krajów przodujących. Pomimo, że nie lubimy kompromisu.

TADEUSZ BERNADZIKIEWICZ

TEZY O ETATYZMIE

Działalność państwa — przedsiębiorcy powinna być sharmonizowana z ustrojem, na tle którego występuje. Funkcja przedsiębiorstw państwowych może się wyrażać n. p. w korygowaniu błędów i niedomagań gospodarki, opartej na własności osobistej i na zasadzie rentowności. Nie powinna jednak prowadzić do wypierania i zastępowania gospodarki prywatnej.

Jest niepodobieństwem, aby w dzisiejszych warunkach państwo pozostawało w roli biernego świadka w życiu gospodarczem. W sposób krańcowy nie było to możliwe nigdy, tem bardziej w wieku XX, dobie głębokich konfliktów politycznych na tle gospodarczem i... gospodarczych na tle politycznem. Zjawiska z dziedziny ekonomji łączą się w splot nierozerwalny z szeregiem problemów natury politycznej, społecznej i t. p. Wzajemna współzależność tych kwestyj jest wielka i nieprzezwyciężona.

Żyjemy obecnie w okresie ostrej walki sprzecznych interesów państw, walki prowadzonej w szerokiej nieraz płaszczyźnie. W tych warunkach dziedzina gospodarcza nie mogła pozostać na uboczu. Rozległa interwencja państwa w gospodarstwo stała się koniecznością. Państwo interwenjuje dzisiaj przy pomocy przepisów prawnych, polityki podatkowej, celnej, kredytowej i t. p. Ale te drogi pośredniego oddziaływania na taki lub inny przebieg procesów gospodarczych okazują się nieraz nieskuteczne lub — conajmniej — nie mogą zapewnić natychmiastowych rezultatów. I tutaj zjawia się kwestja bezpośredniej działalności gospodarczej państwa — w charakterze przedsiębiorcy, a jednocześnie rysuje się przed nami nowoczesna funkcja przedsiębiorstw państwowych, jako narzędzi polityki gospodarczej.

Istotny sens przedsiębiorstwa prywatnego wyczerpuje niemal bez reszty dążenie do osiągania jaknajwiększych zysków. Inaczej w dziedzinie gospodarki państwowej: tutaj zadania przedsiębiorstw pństwowych posiadają z reguły charakter mieszany. Obok momentu zysku dużą rolę odgrywa „służba publiczna" tych przedsiębiorstw. Składają się na nią głównie zadania gospodarcze oraz takie zadania publiczne, jak sprawy obrony kraju, kwestja socjalna i t. p. Punkt widzenia państwa - przedsiębiorcy nie jest więc zasadniczo jednolity, nadto, zależnie od rodzaju przedsiębiorstwa, kon-

kretnych warunków czasu i miejsca i t. d., może się kształtować w poszczególnych wypadkach w sposób zupełnie odmienny.

Dość często spośród rozmaitych zadań, do pełnienia których powołane są przedsiębiorstwa państwowe, wysuwa się na czoło jedno z tych zadań, które stanowi wówczas istotną rację bytu przedsiębiorstwa i służyć może jako kryterjum podziału państwowych warsztatów na poszczególne grupy.

Otóż jest właśnie rzeczą charakterystyczną, iż rzadko kiedy w gospodarce państwowej takie zasadnicze znaczenie przypada w udziale kwestji zysku. Ma to miejsce w monopolach fiskalnych, tutaj jednak z charakterem przedsiębiorstwa łączy się moment opodatkowania. Pozatem z reguły kryterium rentowności nie jest wyłącznie lub choćby nawet głównie miarodajne dla oceny gospodarki państwowej jednostki wytwórczej.

Skolei, jeśli się zgodzimy pominąć niezbyt zwykle liczną grupę przedsiębiorstw, powołanych do szczególnych zadań publicznych, jak np. wytwórnie wojskowe i t. p., największa i najbardziej charakterystyczna grupę stanowić będą przedsiębiorstwa o zadaniach gospodarczych. Te ostatnie zadania dochodzą zresztą do głosu i w dwuch poprzednich wypadkach (por. np. zadania gospodarcze Polskiego Monopolu Spirytusowego w zakresie popierania produkcji rolnej i t. p.) i — w sumie — charakteryzują najlepiej działalność państwa - przedsiębiorcy w dobie obecnej. Z tego właśnie względu zadania gospodarcze przedsiębiorstw państwowych stanowić muszą punkt wyjścia dla wszelkich rozważań na temat państwa - przedsiębiorcy, o ile tym rozważaniom nadaje się charakter „zasadniczy".

Idźmy dalej. Jeśli się stanie na stanowisku inicjatywy i przedsiębiorczości prywatnej, funkcja gospodarki publicznej może być rozumiana conajwyżej jako korektywa ustroju, opartego w swem założeniu na instytucji własności osobistej. Wynika stąd dla rządu możność, a w niektórych wypadkach nawet wyraźna konieczność posługiwania się przedsiębiorstwami państwowemi w charakterze instrumentów polityki gospodarczej. W rezultacie zadania gospodarcze przedsiębiorstw państwowych rozumieć należy jako pośrednie lub bezpośrednie wykonywanie wytycznych polityki powyższej.

Tutaj napotykamy dalsze zróżniczkowanie. A więc po pierwsze przedsiębiorstwo państwowe może mieć na celu bezpośrednie zaspakajanie (nie uwzględnianych należycie przez gospodarkę prywatną i t. p.) istotnych potrzeb życia gospodarczego, co oczywiście nie wyklucza zadań także innego rodzaju, również na odcinku gospodarczym. (Porównaj naprzykład u nas działalność Sp. Akc. „Żegluga Polska", dalej takich przedsiębiorstw, które w szeregu krajów, m. in. z uwagi na konieczność jednolitego zarządu, prowadzone są przez państwo, więc kolei i poczty).

Po wtóre chodzić może o interwencję państwa zarówno w charakterze kontrolera, jak i regulatora produkcji, a to w związku z przyjętą przez rząd polityką cen i t. p. Państwo zmuszone jest w niektórych wypadkach podejmować się kontroli nad gospodarką prywatną na odcinku kalkulacji kosztów własnych, kwestji socjalnej i in. Przykładu dostarcza tutaj Państwowa Kopalnia Węgla „Brzeszcze". Niekiedy pragnie iść państwo jeszcze dalej, ingerując bezpośrednio w dany dział produkcji za pomocą własnego przedsiębiorstwa, celem zrealizowania np. zniżki cen i t. p. Niezbędny warunek stanowi wówczas, aby rozmiary tego przedsiębiorstwa czy zespołu przedsiębiorstw państwowych umożliwiały skuteczność takiej interwencji. Jako przykład tego typu możemy wymienić w Polsce Państwową Fabrykę Olejów Mineralnych „Polmin".

Celowe wykorzystanie przez państwo własnych przedsiębiorstw, których rodowód jest nieraz zupełnie przypadkowy lub znajduje wytłumaczenie we względach historycznych, wymaga zatem traktowania tych przedsiębiorstw, oczywiście w rozsądnych granicach, jako narzędzi polityki gospodarczej. Natomiast zupełnie błędnem wydaje się nam uprawianie przez wytwórnie państwowe polityki przedsiębiorstw prywatnych, t. j. polityki maksymalnej rentowności*). Jak już zostało powiedziane, moment ten nie posiada z reguły w zakresie gospodarki publicznej znaczenia decydującego. Państwo powinno prowadzić swoje przedsiębiorstwa z myślą o osiągnięciu minimalnego oprocentowania kapitału, ale właśnie to ostatnie uznać już trzeba za wystarczające. Koniecznem jest tedy, aby państwo świadomie rezygnowało z dążenia do uzyskania maksymalnego zysku, celem zadośćuczynienia wytycznym polityki gospodarczej.

Jak z tego założenia wynika, bezpośrednia rentowność gospodarki państwowej będzie w zasadzie mniejsza, niż w wypadku analogicznego przedsiębiorstwa prywatnego, które prowadzone jest wyłącznie z myślą o odrzucaniu jaknajwiększych zysków. Zresztą, gdyby nawet przyjąć, iż państwo może i powinno prowadzić swe przedsiębiorstwo jedynie w celach fiskalnych, to i w tym wypadku wolno zaryzykować pogląd, iż bezpośrednia rentowność wytwórni państwowej nie dorówna wynikom gospodarki prywatnej. Aby przekonać się o tem, zestawiamy: z jednej strony najbardziej „uspołecznioną" formę przedsiębiorstwa prywatnego — spółkę akcyjną, z drugiej zaś najdalej usamodzielnione przedsiębiorstwo państwowe, a więc np. również w formie spółki handlowej. Wynik naogół nietrudno przewidzieć. Już choćby pod względem formalnym" (kwestja kontroli, podejmowania decyzyj i t. p.) państwo - przedsiębiorca nie posiada i nie może posiadać w danym wypadku tego zakresu swobody, który jest udziałem prywatnej spółki akcyjnej. Znaczenie zasadnicze posiada jednak duch, jaki decyduje o działalności przedsiębiorstwa, a który jest mimo wszystko inny w prywatnej, a inny w publicznej jednostce gospodarczej.

Skolei, odrzucając sztuczną i nierealną kon-

———

*) Z rozważań naszych wyłączamy monopole fiskalne, które stanowią (również) formę opodatkowania.

strukcję, iż przedsiębiorstwo państwowe może być prowadzone wyłącznie lub głównie z myślą o maksymalnym zysku, jest dla nas tem bardziej widoczne, iż przedsiębiorstwa państwowe są i muszą być mniej rentowne. Wprawdzie z drugiej strony wchodzi w rachubę zjawisko t. zw. pośredniej rentowności gospodarki państwowej, która odnajduje się w zyskach gospodarki prywatnej, np. jako konsekwencja i skutek niskich taryf czy cen, pobieranych za usługi państwowej jednostki wytwórczej. Ale taka „rentowność" nie znajduje oczywiście odzwierciedlenia w wynikach rachunkowych państwowego przedsiębiorstwa, które w danym wypadku mamy na myśli.

* * *

W toku dotychczasowych wywodów stwierdziliśmy, iż nowoczesna funkcja przedsiębiorstw państwowych polega na pełnieniu przez te przedsiębiorstwa zadań polityki gospodarczej państwa. Jednocześnie stała się dla nas widoczną mniejsza bezpośrednia rentowność tych przedsiębiorstw w porównaniu z gospodarką prywatną. Z przyjęcia tych przesłanek wynikają trzy główne konsekwencje. Zajmiemy się niemi według kolejności.

1. *Zakres działalności państwa-przedsiębiorcy powinien być umiarkowany.* Państwo musi się kierować zasadą maksymalnego dochodu netto społeczeństwa. Ponieważ przedsiębiorstwa państwowe, nie dają tych wyników finansowych, co gospodarka prywatna, ingerencja państwa - przedsiębiorcy znajduje uzasadnienie tylko w tych granicach, jakie są ściśle *konieczne* dla realizacji zadań, które państwo musi wykonywać, mając na oku dobrobyt całokształtu gospodarstwa narodowego, względnie jego konkretnej gałęzi, lub wreszcie względy wyższego rzędu, pozagospodarcze. Z tego powodu działalność państwa-przedsiębiorcy powinna się zatrzymać w tym punkcie, w którym świadczone przez nią korzyści pozagospodarcze, jak również „pośrednia rentowność" przedsiębiorstw państwowych są jeszcze przynajmniej równe stratom dla dywidendy narodowej, wynikłym naskutek mniejszej rentowności państwowych jednostek wytwórczych, jak również spowodu zmian, wprowadzonych przez państwo do automatycznego, a zatem — według teorji liberalnej — maksymalnie rentownego rozwoju gospodarki narodowej.

Z drugiej strony wydaje się nam, iż skuteczna działalność przedsiębiorstw państwowych w charakterze instrumentów polityki gospodarczej państwa, bynajmniej nie wymaga, aby zakres gospodarki państwowej, traktowanej jako całość, był bardzo znaczny, lub też, aby miał ulegać stałemu rozbudowywaniu.

Przedewszystkiem więc nie w każdej gałęzi produkcji ma rację bytu działalność państwa jako przedsiębiorcy. Jeśli, zależnie od warunków, jest ona słuszna i usprawiedliwiona w takich lub innych przemysłach o znaczeniu kluczowem (np. węgiel, nafta i t. p.), to już zupełnie szkodliwem i zbytecznem musi się wydawać produkowanie przez państwo — przykładowo biorąc — mebli biurowych, kłódek, rowerów, skrzynek, książek szkolnych, czy wreszcie soków owocowych.

Nie koniec na tem: zbyt wielka własność przemysłowa i t. p. państwa w takiej gałęzi produkcji, w której jest ona uzasadniona i która — dodajmy nie musi być eksploatowana w formie (faktycznego choćby) monopolu, jak np. koleje żelazne, poczta i telegraf, prowadzić może do zbytniego akcentowania punktów widzenia państwa, jako właściciela przedsiębiorstw państwowych oraz państwa, jako podmiotu polityki gospodarczej. W rezultacie wspomnianego konfliktu straty ponosi zarówno gospodarstwo narodowe (mniejsza suma ogólnego dochodu netto), jak i gospodarka państwowa (niemożność celowego wykorzystania przedsiębiorstw państwowych).

Wynika stąd jasno, jak szkodliwy jest nadmierny udział w życiu gospodarczem państwa-przedsiębiorcy. Staje się tak wówczas, gdy gospodarka państwowa prowadzona jest z myślą wyłącznie o niej samej, gdy zatem wypiera i zastępuje gospodarkę prywatną.

2. *Konieczne jest postawienie przedsiębiorstw państwowych w równych warunkach z gospodarką prywatną.* Jeśli przedsiębiorstwa państwowe mają być wogóle używane w charakterze narzędzi polityki gospodarczej rządu, muszą być najpierw postawione w tych samych, o ile możności, warunkach, w jakich pracuje gospodarka prywatna. W przeciwnym razie zostaje przedewszystkiem uniemożliwione kontrolowanie produkcji. Ponadto sprzyja to powstawaniu tworów sztucznych, względnie podejmowaniu przez przedsiębiorstwa państwowe takiej działalności lub takiej rozbudowy zakładu, które nie znajdują usprawiedliwienia w istotnych warunkach gospodarczych.

Jednocześnie uprzywilejowana działalność przedsiębiorstw państwowych wyrządzać może dotkliwe szkody gospodarce prywatnej, co w żadnym razie nie powinno być uważane za zgodne z istotą gospodarki publicznej. Ujemny wpływ korzystającej z przywilejów gospodarki przedsiębiorstw państwowych wyraża się np. w postaci dezorganizowania rynku drogą sprzedawania wytworów po niższych cenach, niż rynkowe i t. p., a w wypadkach krańcowych prowadzić może nawet do wypierania prywatnych warsztatów produkcyjnych.

Wreszcie przywileje uniemożliwiają sporządzenie rachunku istotnych strat i zysków gospodarki państwowej, jako całości, względnie poszczególnych przedsiębiorstw. W ten sposób zaciemniona zostaje sprawa, ile kosztuje działalność państwa - przedsiębiorcy i jakie daje wyniki.

Jest zrozumiałe, iż każda administracja państwowa posiada naturalną tendencję do uprzywilejowywania „własnych" t. j. państwowych przedsiębiorstw. Z drugiej strony sytuacja tych ostatnich przedstawia się nieraz faktycznie „lepiej", niż prywatnych, mogą one bowiem dyskontować korzyści, jakie wynikają z wielkich zazwyczaj rozmiarów

koncernu państwowego, wzajemnego popierania się przedsiębiorstw i instytucyj państwowych i t. p. Z tych wszystkich względów rygorystyczne przeprowadzenie zasady prawnej zupełnego zrównania przedsiębiorstw państwowych i prywatnych, tam, gdzie to jest możliwe, a więc np. w dziedzinie podatkowej, rachunkowej, sprawozdawczej i t. p., jest tem bardziej konieczne.

Uprzywilejowanie przedsiębiorstw państwowych musi się każdemu wydawać rażącą niesprawiedliwością i ułatwia walkę nietyko z przerostami bezpośredniej działalności gospodarczej państwa, ale i z samą zasadą tej działalności.

3. Musi być urzeczywistniona zasada jawności w gospodarce przedsiębiorstw państwowych. Działalność gospodarcza państwowych warsztatów wytwórczych w stosunku do istotnych zadań państwa, jako organizmu o charakterze prawno - publicznym, posiada jedynie znaczenie pomocnicze i nie może stanowić celu samego w sobie. Takie ujęcie sprawy powoduje, iż szczególnie ważną staje się sprawa kontroli nad tą działalnością pomocniczą, zarówno, jeśli chodzi o sam jej przebieg, jak i ewentualność przekroczenia przez nią granic, poza któremi przestaje być celową i uzasadnioną. Z tego względu wydaje się rzeczą właściwą, aby kontrola nad gospodarką przedsiębiorstwa państwowego szła conajmniej tak daleko, a nawet dalej, niż w wypadku prywatnej spółki handlowej. Natomiast sytuacja odwrotna byłaby już zupełnie nie do przyjęcia.

W literaturze ekonomicznej zwracano uwagę (por. np. Marshall), iż w ostatecznej instancji ryzyko gospodarki państwowej ponosi każdy płatnik podatków. Sytuację tego płatnika można więc konstruować na podobieństwo wspólnika w prywatnej spółce handlowej. Wynika stąd jasno, iż wspomniany płatnik podatków, „udziałowiec" w przedsiębiorstwie państwowem, powinien mieć zapewnione jakieś, dostatecznie jednak obszerne minimum prawdziwych wiadomości o stanie i wynikach tego przedsiębiorstwa.

Trzeba również pamiętać o dodatniem znaczeniu umiarkowanej kontroli społecznej nad działalnością gospodarczą w sensie dawania impulsów do ulepszania i racjonalizowania gospodarki i t. p.

* * *

Na tem zamykamy nasze rozważania, którym, umyślnie, nadany został charakter możliwie ogólny. Tem niemniej w toku naszych wywodów dokładaliśmy starań, aby mieć stale na oku faktyczny stan rzeczy w polskiej gospodarce państwowej.

Kończąc, niech nam wolno będzie wyrazić życzenie, aby skreślone wyżej trzy główne postulaty: umiarkowanego zakresu, równości i jawności — zostały również urzeczywistnione w dziedzinie gospodarki naszego państwa - przedsiębiorcy. W tym właśnie kierunku powinna pójść, naszem zdaniem zapowiedziana przez rząd akcja „ograniczania działalności etatystycznej".

UWAGI

BRAKUJĄCE OGNIWO

Program gospodarczy rządu jest programem likwidowania ciągle jeszcze istniejących w naszym organizmie gospodarczym przerostów. Jest programem równania wdół. Ma on cele dwojakie. Pierwszym — najwidoczniejszym i najważniejszym — jest nieco odmienne niż dotychczas pokrajanie szczupłego „bochenka" naszego dochodu społecznego. Skierowanie inaczej (i racjonalniej) pewnej siły nabywczej, uzyskanej przez zredukowanie jej w tych dziedzinach, gdzie nie mogła ona w obecnych warunkach odegrać całkowicie swej roli ożywienia konjunktury. Ale obok tego głównego celu jest i inny. Polega on na utrzymaniu naszej równowagi gospodarczej — nazewnątrz. Podczas gdy w pierwszej płaszczyźnie chodzi o uzyskanie odpowiedniej *relacji wewnętrznej* pomiędzy cenami niektórych towarów i świadczeń a cenami innych towarów (nożyce), to w drugiej chodzi o określenie poziomu, na którym owa żądana relacja ma nastąpić. Obrazowo mówiąc—o wyznaczenie osi, ku której powinny dążyć oba ostrza zamykających się nożyc. Oś ta, jak wiadomo, z konieczności musi leżyć bardzo blisko dolnego—rolniczego — ostrza. Dlatego właśnie mamy równanie *wdół*—a nie jakieś inne, o którem (teoretycznie przynajmniej) mogłaby być mowa również.

Widać z tego niezbicie, iż zagadnienie równowagi naszego gospodarstwa w stosunku do zagranicy jest zagadnieniem w obecnej linji polityki gospodarczej rządu zupełnie pierwszorzędnem. Wynika ono zresztą z całokształtu przesłanek, określających kierunek tej polityki. Jeśli likwiduje się w Polsce nadal przerosty, jeśli nadal hasłem dla cen przemysłowych, taryf kolejowych, budżetu itd. itd. jest „wdół", to w znacznej mierze dlatego, aby nasz poziom cen w złocie, poziom, na który nie oddziałała (jak w wielu innych krajach) dewaluacja jednostki pieniężnej, utrzymać w możliwie bliskiem sąsiedztwie zarysowującego się powoli nowego pokryzysowego poziomu cen „światowych". Wiemy dobrze, iż takiego poziomu jeszcze w tej chwili niema, że istnieje natomiast kilka poziomów cen, różniących sie od siebie niejednokrotnie bardzo znacznie. Ale zdajemy sobe sprawę również z faktu, iż w miarę wzrostu poziomu cen w złocie w krajach o zdewaluowanym pieniądzu, (a wzrost ten wyraźnie ostatnio występuje) nowy „ogólny" poziom cen światowych poczyna powoli przybierać kontury realne. Nie znaczy to, abyśmy już obecnie mogli określić go jakimś hipotetycznym wskaźnikiem. Wygląda na to jednak, iż — o ile nie zajdą w międzyczasie nowe wstrząsy w rodzaju jakiejś nowej dewaluacji dolara, spadku franka francuskiego itp. — umiejscowi się on nieco powyżej połowy cen z ro-

ku 1928. Ku temu poziomowi bowiem stoczyły się powoli wskaźniki cen w krajach o walucie złotej — i ku temuż poziomowi powoli zbliżają się „od dołu“ stale wzrastające ceny w krajach o walutach zdeprecjonowanych.

Polski wskaźnik cen, trzymający się w tej chwili na poziomie powyżej 54 (przy 1928 = 100), zachowuje dotychczas odpowiednią „formę“. Zniżki cen towarów skartelizowanych mogą go jeszcze lekko obniżyć. Ewentualna zwyżka cen rolniczych (o ile nastąpi) nie popchnie go zbytnio wgórę. Zachowujemy konkurencyjność w stosunku do zagranicy, o ile po dalszym wzroście cen w krajach o walutach zdeprecjonowanych nastąpi stabilizacja walut anglosaskich. Dość niebezpieczne pod kątem, o który tu chodzi, zjawisko zwyżki cen, jakie dało się zaobserwować w drugiej połowie r. ub., zostało u nas w ten sposób zahamowane.

Powiadamy: zostało zahamowane, bo wierzymy, że ostatnia akcja rządu w dziedzinie cen kartelowych *istotnie* skutek odniesie. Dokonana została ona drogą umowy lub przymusu dyspozycji władzy wykonawczej. Mamy wszelkie prawo sądzić, iż to powinno wystarczyć w zupełności. Niemniej jednak nie możemy oprzeć się wrażeniu, iż posunięcie gospodarcze, jakiem niewątpliwie przecież jest zniżka cen, zyskałoby na sile, gdyby poparte było „egzekutywą“ czynników czysto już gospodarczej natury.

Na całym świecie taka „egzekutywa“ leży w poziomie ochrony celnej kraju. Ceny związane mogą istnieć *tylko i wyłącznie* przy prohibicjonizmie celnym albo przy tak wysokiej protekcji, która czyni konkurencję zagraniczną drobną i mało wpływającą na poziom cen w kraju. Cło jest właśnie regulatorem poziomu cen w kraju w stosunku do poziomu cen zagranicą. Powinno grać w pełni w tym wypadku, kiedy tendencja rządu jest prowadzenie polityki *wzrostu* cen krajowych i kiedy istnieje obawa, że niższy zagraniczny poziom cen może wzrostowi temu przeszkodzić. Nie widzimy natomiast uzasadnienia dla wysokiej protekcji celnej w okresie, kiedy chodzi przecież o możliwie wydatną *zniżkę* cen pewnych towarów w kraju.

Polski poziom ceł przemysłowych jest bardzo wysoki. Jest tak wysoki, że potrafił on w okresie kilku lat kryzysowych znakomicie przekształcić charakter naszego przywozu z zagranicy. W 1928 r. przywóz surowców i półfabrykatów stanowił w całokształcie naszego przywozu 38,1% a przywóz wyrobów gotowych — 44,1%. W 1934 r. surowce i półfabrykaty stanowiły już 55,4% całego przywozu, podczas gdy wartość importowanych wyrobów gotowych spadła do 33,7% całej wartości przywozu.

Ekonomista, który ma na oku t. zw. samowystarczalność, będzie — rzecz prosta — z tego stanu rzeczy niesłychanie zadowolony. Rzecz jednak w tem, iż ten medal posiada i stronę odwrotną. Okazuje się, mianowicie, iż podczas gdy „światowy“ wskaźnik cen importowych w zakresie wyrobów gotowych spadł do 50 (przy 1929 = 100), to w Polsce wynosi on — 74,6. Co to znaczy? Znaczy to, iż wysoki poziom naszej ochrony celnej dopuszcza na nasz rynek tylko *najdroższe* produkty zagraniczne, bo tańsze nie wytrzymują cła. A przez to nasz poziom cen przemysłowych może spokojnie równać na ów sztucznie drogi poziom konkurencji zagranicznej. Jest odpowiednio „ochroniony“ taryfą celną.

Tu i owdzie odzywają się w prasie codziennej głosy, iż uchwalone zniżki cen nie docierają do konsumenta. Że zatem ich efekt gospodarczy jest stracony. Nie wiemy, o ile te obawy są uzasadnione. W każdym razie widzimy tylko, iż pole dla wszelkiego rodzaju „obchodzenia“ dyspozycyj rządu jest otwarte, albowiem nie działa przymus gospodarczy, od którego uchronić żadnemi cofaniami rabatów, kombinacjami kredytowemi itd. nie można. Jeśli mamy utrzymywać równowagę naszego życia gospodarczego wobec zagranicy, należałoby użyć środków z arsenału naszych stosunków gospodarczych z zagranicą. I logiczne — i, co ważniejsza, bardzo pewne w skutkach.

a. w.

WSPÓŁZALEŻNOŚĆ

Zadania polityki gospodarczej w epoce liberalizmu były łatwe. Regulowanie życia gospodarczego było wyjątkiem — zasadą była swoboda. Odstępstwo od zasady, następowało w imię jednego jakiegoś określonego celu. Państwo, interwenjując na danym odcinku, baczyło, aby zasięg skutków ingerencji był ograniczony, aby koła w stawie, do którego rzucono kamień, nie rozeszły się zbyt daleko. Dziś jest inaczej. Chcemy począć to czy owo, chcemy to czy owo osiągnąć. Ale musimy pamiętać o tem, że lista celów, do jakich Państwo dąży, lista skutków, jakie Państwo osiąga, jest już bardzo długa i że bardzo łatwo możemy popaść w konflikt danego dążenia z innemi, że poszczególne akty polityki państwowej mogą być z sobą sprzeczne. Musimy liczyć się z tem, że w istniejącym układzie gospodarki, gdzie pewne odcinki są związane, a inne niezwiązane, koła od rzuconego kamienia raz mogą się rozejść zbyt szeroko, drugi raz nie dość szeroko. Że czasami interwenjując na odcinku *a*, prawdziwie wielkie, acz niezamierzone skutki wywołamy na odciku *b*, lub też, że wręcz przeciwnie, nasze poczynania pozostaną bezpłodne, bo los odcinka *a* przesądziliśmy kiedyś, zajmując się zagadnieniami *b*, *c* i *d*.

Dopóki interwencjonizm był wyjątkiem, odcinkowa ingerencja państwa mogła być skuteczna, a równocześnie mniej więcej ograniczona do zamierzonego zakresu. Od czasu kiedy interwencjonizm stał się regułą, możliwości ingerencji odcinkowej są coraz mniejsze, gdyż staje ona w obliczu pokonywania nietylko przeszkód, które rodzi życie, ale i przeszkód, które państwo samo sobie buduje przy innych posunięciach polityczno - gospodarczych. Dlatego też niemożliwy jest rozwój interwencjonizmu jedynie wszerz, bez pogłębienia go, bez usystematyzowania, bez podjęcia posunięć, wykraczających poza doraźne cele.

Przykłady. Bardzo niedawno nasza polityka gospodarcza usiłowała rozwikłać skomplikowany węzeł zagadnienia cukrowo - buraczanego. Niewątpliwie niezmiernie poważne argumenty przemawiałyby za skoncentrowaniem produkcji w kilkunastu największych cukrowniach o najniższych kosztach wytwórczości. Co stanęło na przeszkodzie, co stało się źródłem kompromisowego rozwiązania, które zmierza do pewnego rodzaju koncentracji. przy zachowaniu jednak zasady planowej repartycji kontyngentów buraczanych pomiędzy poszczególne okręgi? Dążenie do zapewnienia rolnictwu wszystkich dzielnic i możliwie znacznej ilości powiatów dostępu do rentownej produkcji buraka. Czy motyw regjonalny nie mógłby być zrealizowany na innej drodze, bez uszczerbku dla koncentracji produkcji cukru, a co zatem idzie, dla obniżenia jego ceny? W ramach polityki cukrowej — nie. W szerszych ramach — tak. Możnaby sobie np. wyobrazić, że kontyngenty gorzelnicze zostałyby odpowiednio poprzenoszone i skoncentrowane tak, by skompensować poszczególnym okręgom straty, poniesione przez rolnictwo danych okręgów naskutek koncentracji produkcji cukru. Oczywiście można uważać tę tezę za sporną. Jeśli jednak chodzi o rzeczywisty przebieg wypadków, to teza ta nie stała się przedmiotem dyskusji, poprostu dlatego, że zagadnienie przebudowy gorzelnictwa nie znajduje się „na porządku dziennym". Nie wchodząc w szczegóły, można w każdym razie powiedzieć, że inne i znacznie szersze są możliwości rozsądnego uregulowania sprawy cukrowniczej z jednej, a gorzelniczej z drugiej strony, przy łącznem ich traktowaniu.

Inny przykład. Od szeregu lat wypływa na porządek dzienny zagadnienie reformy ubezpieczeń. Wypływa a potem niknie znów. Przyczyn tego jest wiele. Ale niewątpliwie jedną z najważniejszych jest to, że ubezpieczenia stanowią jedynie część większej całości, całości formalnie niczem albo prawie niczem nie związanej, natomiast wewnętrznie organicznie zrośniętej. Czyż można np. rozpatrywać zagadnienie emerytur ubezpieczeniowych w oderwaniu od zagadnienia emerytur państwowych? Czy jest do pomyślenia, ażeby dwóch urzędników państwowych o mniej więcej równych uposażeniach i stanowiskach miało wręcz odmienne uprawnienia emerytalne, z tej tylko racji, że jeden jest etatowym, a drugi kontraktowym? (Przypominamy, że tych ostatnich jest coraz więcej.) Czy można mówić o świadczeniach chorobowych ubezpieczeń w oderwaniu od zagadnienia opieki społecznej państwa i samorządów? Nie można, ale mówi się i mówić się będzie, gdyż formalnie biorąc są to odrębne sprawy.

Jeszcze inny, klasyczny przykład. Czy można dokonać istotnie realnych posunięć w zakresie oddłużenia rolnictwa, nie podejmując w zwiększonej znacznie skali akcji parcelacyjnej? Przecież oddłużenie trupów jest zabiegiem niecelowym i bezskutecznym, a likwidacja ich bez stworzenia parcelacyjnego popytu na ziemię nie jest do pomyślenia. Czy można. Czy można rozwikłać zagadnienie niewątpliwie nadmiernych w zasadzie premji zbożowych bez załatwienia sprawy podatkowej rolnictwa? Czy można rozwiązać problem karteli surowcowych bez rozstrzygnięcia problemu czasowego zatrudnienia zwolnionych rąk roboczych, bez rozstrzygnięcia problemu inwestycyj publicznych czy też specjalnej pomocy państwowej? Czy można mówić o problemie gospodarczym kresów wschodnich w oderwaniu od polityki w stosunku do mniejszości narodowych?

Pocóż mnożyć przykłady. Sprawa jest jasna i prosta. Przypadek, przypadkowy podział kompetencyjny, pośpiech w działaniu, narzucony przez konieczności chwili, istnienie pewnych nienaruszalnych tabu, podzieliły zagadnienia, stanowiące jedną łączną całość, zagadnienia, które nie dają się w pojedynkę rozwiązać sensownie, na poszczególne, odrębne odcinki. Scalenie problemów, oderwanie się od chwili bieżącej, spojrzenie na politykę gospodarczą, jako na jedną całość, całość — organicznie zrośniętą z zagadnieniami pozagospodarczemi — jest niewątpliwą potrzebą. Nietylko dlatego, że „polska rzeczywistość gospodarcza i społeczna wymaga w zasadzie prowadzenia polityki o celach strukturalnych"*), ale również dlatego, że doraźna, bieżąca polityka nie będzie mogła pójść naprzód, jeśli nie przekreśli przypadkowych rozgraniczeń pomiędzy współzależnymi odcinkami.

c. k.

*) Gospodarka Narodowa Nr. 1 — 1936.

CECYLJAN PTASIŃSKI

O REFORMĘ USTROJU RZEMIOSŁA

Polskie prawo przemysłowe z 15 czerwca 1927 r. nawet dla Ziem Zachodnich Rzeczypospolitej stanowiło znaczną nowość: dla Kongresówki było istnym przewrotem w dziedzinie stosunków ustrojowych rzemiosła.

Wedle postanowienia Księcia Namiestnika Królewskiego z 31 grudnia 1816 r. i następnych objaśnień porządek rzemiosła w zakresie zgromadzeń, kształcenia uczniów i czeladzi oraz sposobu egzaminowania był starannie i dokładnie ułożony, ale odnosił się tylko do miast, „gdzie się znajduje dziesięciu, lub więcej majstrów jednego rzemiosła", bo nie można było zniewalać rzemieślników po wsiach, aby do zgromadzeń rzemieślniczych należeli; nadto „nikomu z przyczyny, że do zgromadzenia nie należy, wolność robienia na własną rękę nie ma być tamowaną", a tylko „niewykwalifikowany na majstra" przed udzieleniem mu „konsensu" na prawo samoistnego wykonywania rzemiosła miał złożyć deklarację, iż został zawiadomiony o prawach majstrów, jemu nie mających przysługiwać, a mimo to „majstrem zostać nie chce i o konsens doprasza się". W ten sposób olbrzymia większość wykonywujących rzemiosło znajdowała się poza obrębem działania wspomnianego postanowienia, nie podlegając właściwie żadnym ograniczeniom.

Prawo z 1927 r. utrzymało w gruncie rzeczy dotychczasowy ustrój w zakresie nauki zawodu i zdobywania stopni kwalifikacyjnych (czeladniczego i mistrzowskiego), ale ustanowiło obowiązek posiadania dowodu uzdolnienia zawodowego do samoistnego wykonywania rzemiosła, czyli radykalnie rozszerzyło krąg osób, obowiązanych do podporządkowania się tym przepisom: gdy dotąd dotyczyły one nieznacznej cząstki samoistnych, może dziesiątej lub dwudziestej, i to chcących się do nich stosować, teraz mieli się im podporządkować wszyscy i obowiązkowo. Podniesiono wyjątek, powiedzmy przywilej, do godności zasady, na co życie odpowiedziało podniesieniem do godności zasady tego, co przewidywano jako wyjątek, mianowicie wszelkiego rodzaju „dyspensowania" od przepisanych wymogów, z nader szeroko stosowanym art. 146 prawa przemysłowego na czele.

Gdyby po roku 1928, w którym zaczęło się stosowanie prawa przemysłowego, nie przyszedł 1930 a zwłaszcza 1932 i następne, być może łatwiej byłoby podciągnąć życie do wymogów ustawowych. Ale dziś, po 8 latach doświadczenia, mamy podstawę powątpiewać czy następne 8-lecie zbliżyłoby nas do nakreślonego przepisami ideału.

Okazało się, że prawo rzemieślnicze w jego całokształcie można zaliczyć do rzędu „przerostów": wszyscy mają mieć dowód uzdolnienia zawodowego, ale znaczna część chcących się o niego ubiegać ma zgóry uniemożliwione w praktyce przystąpienie do egzaminów, a przytem (przed nowelą z 1934 r.) wolno otworzyć zakład przed wykazaniem uzdolnienia zawodowego, co więcej, nie wolno starać się o kartę rzemieślniczą przed otwarciem zakładu, do czego mógł przystępować każdy niewykwalifikowany, wskutek czego funkcjonowała publiczno - prawna wytwórnia „nielegalnego" rzemiosła: każdy uczeń ma ukończyć szkołę dokształcającą zawodową, ale szkół niema; kształcić się w zawodzie można tylko u mistrza i to w ograniczonej ilości, ale bez ograniczeń można zatrudniać „młodocianych pracowników", choćby się ich faktycznie kształciło w zawodzie. Pod rządem postanowienia z 1816 r. surowość (czy nieżyciowość) przepisów o nauce zawodu i egzaminu mogła być obojętna, bo każdy, bez względu na kwalifikacje, mógł pracować samoistnie; co innego po roku 1927.

Nic dziwnego, że nad temi i innemi sprzecznościami i niedomogami przepisów życie przeszło do porządku, z żywiołową siłą wylewając się w formy aktualnemi warunkami ukształtowane. Wbrew mogącym powstać przypuszczeniom nawet pojedyńczym nie stała się żadna krzywda, jedynie co trwożliwsi postarali się o karty rzemieślnicze na zapas. Przyczyna w tem, że nadmierne a raptowne restrykcje spowodowały powszechny odruch liberalizmu: u władz, w izbach rzemieślniczych, w organizacjach zawodowych, w komisjach egzaminacyjnych i kwalifikacyjnych, wszędzie, aż praktykowane łagodzenia niemal przekreśliły ustawę, choć bywała zaostrzana dodatkowemi przepisami coraz bardziej, aż do ostatnich prawie dni.

Wydaje mi się, że pragnący kiedyś osiągnąć pożądane rezultaty, podniesienie poziomu technicznego i zawodowego rzemiosła, musi pamiętać, że:

1) ma się do czynienia bezmała z 500.000 jednostek, fizycznych dużo więcej, gospodarczych nieco mniej, nietylko niczem nie związanych ale w sposób najbardziej fantastyczny i różnostronny rozbitych i różnorodnych pod względem wielkości, rodzaju produkcji, poziomu właścicieli, urządzeń technicznych i t. d.; dlatego m. in. należy stworzyć sytuację jasną a konstrukcję prostą, przy zachowaniu koniecznych odrębności;

2) skoro się okazało, iż samo ustanowienie wyśrubowanych wymagań bez jednoczesnego wskazania sposobu sprostania im nie stanowi rozwiązania, należy — to trudno — zacząć znowu od zalegalizowania, tym razem w całej rozciągłości i bez reszty, istniejącego stanu, choćby to miało się wydawać zbytnim liberalizmem nawet w porównaniu ze złagodzonemi wymaganiami i spowodować pozorne cofnięcie się, statystyczne pogorszenie rzekomo osiągniętego poziomu;

3) gdy się ta masa na pewnym poziomie ustabilizuje, do obowiązującego porządku przyzwyczai, można pójść o krok dalej i wymagania podwyższyć, bacząc nietyle na ich wysokość i obfitość, ile

na realizację, aby dystans między obowiązkiem (papierowym) a rzeczywistością (rzeczywistą) był jaknajmniejszy; ma się do czynienia nie z grupką lekarzy czy notarjuszów, znajdujących się w zupełnej dyspozycji ustanowionego dla nich prawa, ale z gromadą ludzi, którzy chcą i muszą żyć z własnego sprytu i zarobku, ma się do czynienia z dziedziną, którą doniedawna straszono (przysłowiowem „do szewca") i jedną z nielicznych już, jeszcze dostępnych dla szerszego ogółu, pozbawionego papierowych dowodów swego wykształcenia, a przeto możliwości egzystencji; a ciągnie tu element wartościowy, przebojowy, twardy a samodzielny;

4) budować trzeba od gruntu, od młodzieży, tę odrazu na właściwe drogi kierując, starszych raczej pozostawiając działaniu naturalnego prawa śmierci, wziąwszy od nich co się da dla młodych w zakresie posiadanych umiejętności fachowych i doświadczenia.

Nauka zawodu.

Gdzie i jak odbywa się obecnie praktyczna nauka zawodu i jakie zastosowanie mają obowiązujące w tej materji postanowienia?

1. Istnieją szkoły rzemieślnicze, które jednak: a) drogo kosztują, bo trzeba dać chłopakowi całe utrzymanie, za naukę zapłacić, pomoce i materjały kupić a kaucję za narzędzia złożyć, co razem dla miejscowych trudno dostępne, dla zamiejscowych prawie wcale; b) przygotowują do pracy w warunkach nowoczesnych przy zastosowaniu urządzeń, o których przez długie jeszcze lata nie będą śniły przeciętne choć dobrze prosperujące zakłady, przygotowują swego rodzaju inteligentów; c) kształci się w nich (dane dotyczą woj. Lubelskiego) niewiele ponad 1.000 młodzieży.

2. W zakładach rzemieślniczych u pryncypałów, posiadających prawo kształcenia terminatorów, na podstawie umów o naukę, zarejestrowanych w izbie rzemieślniczej, a więc „legalnie", niespełna 200 terminatorów się kształci; tu działają inne przyczyny, na które zostanie niżej zwrócona uwaga. Faktem jest, że powyższe prawidłowe drogi, nawet po uwzględnieniu uczących się w zakładach fabrycznych mają niewielkie praktyczne znaczenie, zwłaszcza z ilościowego punktu widzenia.

3. Obok tego liczne tysiące młodzieży kształcą się faktycznie ale bez zachowania prawem przepisanych warunków pod formą zatrudnionych młodocianych. Właściwie nie można pracować w zakładzie rzemieślniczym nie kształcąc się w zawodzie. Myślący inaczej przykłada do warsztatu miarę fabryczną. Decyduje o tem nieliczny personel zatrudniony i zwykła różnorodność zajęcia, a nadto ze strony ucznia tendencja do coraz lepszego opanowania coraz to innych czynności, a ze strony pryncypała — wykorzystania pracy terminatora. Nadmierne wymagania, stawiane znajdującym się w stosunku nauki, przyczyniają się do powodzenia tej formy, zwłaszcza wobec takiej praktyki „dyspensowej": umowa w izbie rzemieślniczej (wbrew przepisom) nie zarejestrowana (taili rzeczywisty swój stosunek) — ukazuje się wyjaśnienie, że mimo to do egzaminu mogą być tacy dopuszczeni (a może umowę antydatowali, a może jej wogóle nie było?); pryncypał, u którego chłopak odbył naukę, nie miał odpowiednich kwalifikacyj — no to niech idzie na parę miesięcy czy tygodni do uprawnionego, a potem dyspensa od zarządu izby rzemieślniczej (skrócenie czasu nauki); niema szkoły dokształcającej — to znowu dyspensa od wojewody lub kuratorjum. Właściwie niema prawa, są tylko wyjątki.

Skutki obowiązujące systemu nauki zawodu są obojętne, a może nawet szkodliwe, gdy chodzi o poziom nauki praktycznej, bo zmuszają do kształcenia się pokątnego, bez nadzoru, przy sposobności pracy; destrukcyjne, zresztą łącznie z innemi przepisami, bo zmuszają do obchodzenia przepisów zbyt uciążliwych i niedostosowanych do wymagań życia. Spróbujmy zwrócić uwagę na niektóre przyczyny na to wpływające.

Grupa pierwsza dotyczy wymagań, stawianych pryncypałowi.

1. Zasadniczo pryncypał powinien posiadać dyplom mistrza danego zawodu, a przecież (bierzmy rzecz w świetle dzisiejszej rzeczywistości, gdy przeważna część rzemieślników samoistnych posiada prawa nabyte) dyplom ten nie jest do niczego więcej ani potrzebny, ani przydatny, a samo prawo kształcenia, gdy ma nie dawać poważniejszych korzyści, jest zbyt małą atrakcją; posiadanie dyplomu nie jest dzisiaj miarodajne dla oceny nietylko poziomu zakładu, ale nawet jego właściciela — to chyba bezsporne wobec odbytych niedawno masówek; a jeśli w praktyce wystarcza nauczyć się u niedyplomowanego to pocóż wogóle poszukiwać posiadacza dyplomu?

2. W wielu zawodach prawie nie można się obejść bez podręcznego narazie popychadła, chłopca, „ucznia" (prawnie) i ucznia (faktycznie).

3. Młodzież napływa masowo, w znacznej części ze wsi, a wielu poważnych pryncypałów, wykwalifikowanych uczniów nie przyjmuje, aby się uchronić od konfliktów na które mniej odpowiedzialny śmiało się naraża; więc liczba uprawnionych jeszcze bardziej maleje, a lepsze warsztaty są nieprzystępne.

Druga grupa dotyczy wymagań, stawianych uczniowi.

4. Musi mieć skończonych 15 lat. A co ma robić w ciągu roku po odbyciu obowiązku szkolnego? Więc pcha się dokąd może, do najmniej odpowiedzialnego ryzykanta, aby tylko robić.

5. Żąda się wypełnienia obowiązku szkolnego, a przecież kilkaset tysięcy co roku do szkół nie uczęszcza. Możeby ich dopuścić przynajmniej do niektórych zawodów?

6. Uczeń ma być zakwalifikowany przez lekarza, czy praca sił kandydata nie przekracza; ale gdy go się najmie w tymsamym zakładzie jako pra-

cownika młodocianego — praca, którą wykonywa, staje się odpowiednia.

7. Uczeń ma ukończyć szkołę dokształcającą zawodową, ale szkół w dostatecznej ilości niema, niema nawet obowiązanego do ich utrzymywania; a kształcić praktycznie wolno wszędzie, nawet tam gdzie szkół niema. Słyszałem, że jest opracowany projekt ustroju szkolnictwa dokształcającego zawodowego utrzymany na poziomie „europejskim“, ale podobno nie przewiduje, kto i za co będzie go realizował.

Trzecia grupa to życiowo nieuzasadnione warunki.

8. Ustalono stosunek terminatorów do zatrudnionych czeladników, aby się lepiej mogli wykształcić i aby czeladnicy znaleźli zatrudnienie. Nie osiągnięto ani jednego, ani drugiego, tylko zwiększone zatrudnianie młodocianych i zmniejszenie liczby uczniów („legalnych“).

9. Zakaz przyjmowania wynagrodzenia za naukę. Więc (nieliczni) poważni nie biorą, nietylko wynagrodzenia za naukę, ale także uczniów na naukę. Inni naogół biorą — ciepłą ręką lub pod postacią zwrotu kosztów utrzymania. Naogół to trudno pojąć, żeby za udzielenie komuś nauki, za zapoznanie go ze sztuką, z której potem będzie się utrzymywał całe życie, nic nie wziąć? Jakże często nazajutrz po opuszczenu zakładu uczeń staje się swego pryncypała najgroźniejszym konkurentem. W imię czego dzielić się swem doświadczeniem?

10. Obowiązek płacenia uczniowi od początku nauki. Wysokość zapłaty coprawda nieoznaczona. Ale sama zasada, zwłaszcza w początkach nauki, wydaje się niesłuszna, jeżeli uwzględnić choćby zepsuty materjał, co trwa — zależnie od zawodu — parę miesięcy, albo i rok. Zastanawia, że u żydów oddawna (i bez przepisów) płacono. Ale jakie są tego głębsze przyczyny?

11. Dla przykładu szczegół: zakaz pracy nocnej w piekarstwie musi być łamany, albo wogóle o nauce mowy być nie może. Skoro tylko nocą piecze, kiedyż ma nauczać? Sporządzać specjalne pieczywo, nic za naukę nie wziąć i jeszcze uczniowi od początku zapłacić.

Wreszcie kilka różnych uwag.

12. Na tle dzisiejszej praktyki systematycznego stosowania przepisów wyjątkowych niema życiowego celu w dążeniu do uzyskania dowodu uzdolnienia zawodowego, skoro można złożyć egzamin kwalifikacyjny i uprawnienie przemysłowe uzyskać bez potrzeby długotrwałej i uciążliwej wędrówki po szczeblach prawem przewidzianych.

13. Zwyczaj każe czeladnikowi płacić więcej, a gdy tego warunki rynku pracy nie usprawiedliwiają to go się pryncypał wyzbywa, albo czeladnik (faktyczny) naumyślnie do egzaminu nie przystępuje, aby pracę zachować, co przychodzi tem łatwiej, że niema ani przymusu, ani przynęty.

14. Skutki nieprzestrzegania przepisów ponosi z reguły wyłącznie terminator, gdyż przekroczenia pryncypałów ujawniają się zwykle już po upływie przewidzianego krótkiego przedawnienia. Pozatem — amnestje. Niedopuszczenie do egzaminu jako jedyny a wielki skutek przekroczeń to kara — trzeba przyznać — za wysoka, bo równa cenie prawa do życia w obranym zawodzie.

15. Wyliczenie przyczyn, powodujących złe skutki obecnego systemu nauki zawodu, kończę zwróceniem uwagi na rzecz — zdaniem mojem — nadzwyczajnej wagi: dopuszczalność „zatrudniania młodocianych“ w rzemiośle powoduje zawieszenie w próżni wszelkich przepisów, nietylko już postanowionych, ale również tych, któreby w następstwie w interesie podniesienia poziomu nauki mogły być postanowione. Niema żadnego celu w prawidłowem odbywaniu nauki zawodu skoro wiadomo, że za kilka lat dorośnie taka liczba „młodocianych“ ongi „pracowników“, że kwestja ich dalszych losów i egzystencji zacznie mieć wagę państwową i — nie trzeba się łudzić — wypadnie zrezygnować z zachowania przepisów na rzecz bezpośredniej konieczności.

W warunkach wyżej zaznaczonych można stwierdzić, że podniesienie poziomu zawodowego młodzieży (w porównaniu z poziomem obecnego pokolenia i dzięki nauce) nie następuje, co więcej — nie może nastąpić, zwłaszcza wskutek świadomej i celowej działalności prawodawczej, bo ta może się rozwijać tylko na papierze w postaci przepisów, które nie są stosowane. Nawet o obniżeniu poziomu mówią egzaminatorzy: nietylko dlatego, że przed wojną wogóle lepiej bywało, ale dlatego, że obecnie rynek nie chłonie takich robót jak dawniej, pozwalających, może zmuszających, do kształcenia i trzymania pracowników wysoko wykwalifikowanych. Tak jest dzisiaj, inaczej może być jutro. Zresztą potrzeby podnoszenia poziomu nie trzeba uzasadniać, a do kłopotania się wystarczy stwierdzić, że się to nie dzieje m. i. nietylko z braku kwalifikacyj zawodowych pryncypałów, ale — w pierwszym rzędzie — z powodu aktualnych warunków rynku i często nieodpowiedniego urządzenia zakładów, ostatecznie także w znacznej mierze przez rynek regulowanego.

Wytyczne dla ustanawiającego ustrój nauki rzemiosła, uwzględniające potrzeby obrotu i dające możność oddziaływania na przebieg i poziom nauki, powinny przedstawiać się w sposób następujący:

1. Prawo trzymania uczniów w liczbie nieograniczonej przysługuje każdemu samoistnie wykonywującemu rzemiosło, chybaby mu to było zakazane już to ze względu na jego osobę (poziom moralny, władze umysłowe), już to ze względu na nieodpowiednie urządzenie zakładu.

2. Za ucznia uważa się każdego niepełnoletniego pracownika, nie posiadającego świadectwa czeladniczego lub dyplomu mistrzowskiego. Wszyscy niepełnoletni pracownicy muszą być rejestrowani.

3. W zakładzie rzemieślniczym wolno zatrudniać tylko czeladników, uczniów i mistrzów. Za-

mierzający zatrudniać innych pracowników musi uzyskać pozwolenie.

4. Przystąpienie do egzaminu czeladniczego po upływie czasu nauki jest obowiązkowe, pod odpowiedzialnością i pryncypała i ucznia. Koszty egzaminu ponosi w całości pryncypał. Kto dwukrotnie nie złożył egzaminu czeladniczego otrzymuje świadectwo czeladnicze automatycznie z upływem 10 lat od chwili powtórnego egzaminu, jeśli w ciągu tego czasokresu był zatrudniony w swem rzemiośle, co będzie mu dozwolone.

5. Jeżeli kolejno dwóch uczniów tegosamego pryncypała nie zda egzaminu czeladniczego wolno od pryncypała zażądać złożenia egzaminu mistrzowskiego, a gdyby odmówił przystąpienia lub go nie złożył, zabronić mu trzymania uczniów.

6. Naukę rzemiosła można rozpocząć po ukończeniu wieku, zobowiązującego do odbywania obowiązku szkolnego, z zastrzeżeniem świadectwa przydatności lub wyższego wieku dla zawodów, wymagających większego rozwoju fizycznego i wysiłku.

7. Nauka rzemiosła trwa od dwóch do pięciu lat zależnie od zawodu; skracanie czasu nauki przewiduje się.

8. Szkoła dokształcająca zawodowa jest obowiązkowa, o ile istnieje w promieniu 3 km. od miejsca odbywania nauki praktycznej. Kto ukończył 30 lat życia ma prawo zamiast świadectwa szkolnego przedstawić świadectwo z ukończenia krótkoterminowych kursów.

9. Ustalane w umowie o naukę rzemiosła wzajemne świadczenia stron nie są ograniczone żadnemi przepisami, zato mają być w całości ujawnione w umowie.

10. Ustanawia się premje dla uczniów i pryncypałów za najlepsze wyniki na egzaminach czeladniczych, corocznie przyznawane.

Przejściowo: wszyscy teraz zatrudnieni powinni: a) albo poddać się egzaminowi czeladniczemu przy zastosowaniu generalnej dyspensy od jakichkolwiek innych warunków, prócz faktu zatrudnienia w danym zawodzie, b) albo zawrzeć i zarejestrować umowy o naukę, c) albo, gdy w ciągu określonego czasu egzaminu dwukrotnie nie złożą, otrzymać zaświadczenie, że mogą pracować w charakterze czeladników, poczem postąpi się z nimi jak wskazuje punkt 4.

(dok. nast.)

NOTATKI

CASUS „ARKADYJSKI"

Tygodnik literacko - społeczny „Pion" w Nr. 50 z 14 grudnia ub. r. przyniósł czołowy artykuł p. B. Suchodolskiego pod wielce wymownym tytułem: „Polska ma 33 miljony obywateli". Nie będziemy artykułu tego ani streszczali, ani omawiali, ograniczymy się jedynie do skonstatowania, że jest to niezwykle ważny przyczynek do dyskusji na temat kultury mas, kultury społeczeństwa. Bogiem a prawdą nasza kultura w najlepszym razie dotyczy owych „górnych dziesięciu tysięcy" aczkolwiek nakłady książek w Polsce nie przekraczają z reguły 3.000), ale ma niewiele wspólnego z głodem kulturalnym owych 33 miljonów obywateli. „Kulturę tworzy elita w miastach" — stwierdza p. Suchodolski. Nie byłoby w tem ostatecznie nic złego, gdyby jednocześnie jej konsumentem nie była znowu ta sama miejska elita inteligencka. „Od zarania naszej niepodległości zachodziła jaskrawa niewspółmierność między działaniem opiekuńczem dla dobra kulturalnej elity wielkomiejskiej a działaniem organizacyjnem dla upowszechnienia kultury" — czytamy w wym. artykule. Wina to wszystkich bez wyjątku rządów (p. S. przypomina, że pierwszy minister kultury i sztuki, Miriam - Przesmycki, „zyskał sobie kapliczkowemi wydawnictwami pewien rozgłos wśród elity", ale „nie rozumiał zupełnie, co jest prawdziwa kultura i na czem polega społeczny problem jej upowszechniania") i Sejmu, który np. ufundował zbiorowe wydanie dzieł Mickiewicza nie po to, by nareszcie „zbłądziły one pod strzechy" (uczynić to może dopiero popularne i tanie wydawnictwo w stylu np. „Panteonu Polskiego"), lecz chyba tylko poto, by garść snobów, krytyków i historyków literatury miała okazję do porównywania tekstów.

P. Suchodolski pisze mocno i wyraźnie: „Raz wreszcie musi być przełamany czar tego mitu, który ma w sobie trochę arystokratyczno - szlacheckich tradycyj, trochę inteligenckiej zarozumiałości, trochę miejskiego egoizmu, a który przeszkadza widzieć kulturę jako dobro i zadanie każdego człowieka, jako styl życia wielkich mas". Co więcej — „cały ten arystokratyzm kulturalny, lekceważenie wielkiego dzieła upowszechnienia kultury jest tem niebezpieczniejszy, iż towarzyszy mu zjawisko stabilizacji społecznej struktury Polski na poziomie wybitnie stanowym i to według stanowości najgorszego gatunku, bo sztucznej i przypadkowej". Ekonomicznie zaś czy finansowo rzecz biorąc, możnaby w wielu dziedzinach budżetowych, przełamując resortowe ambicje i lokalne tradycje, ograniczając zbędny luksus lub odkładając na później rzeczy mniej pilne, osiągnąć oszczędności, które mogłyby być zużyte na realną robotę oświatowo - kulturalną". Ale i wówczas konieczna jest hierarchja celów, celów z zakresu kultury społeczeństwa. Wówczas finansowanie kultury elity zepchnięte zostanie na plan dalszy...

Nie minął jeszcze miesiąc od ukazania się cyt. artykułu (przemilczanego zresztą przez prasę), kiedy odezwały się w Sejmie głosy, w konkluzji swej jednako podobne. Podkreślił to poseł Pochmarski,

apelując do kolegów - referentów z Komisji Budżetowej, by zaoszczędzone środki budżetowe starali się zużyć na szkolnictwo powszechne, a poseł — gen. Żeligowski z właściwą mu obrazowością uprzytomnił, czem jest kultura wsi polskiej, zwłaszcza wsi kresowej, i wspomniał o „tragicznej wprost rozpiętości" nietylko w zakresie cen na wsi i w mieście, lecz i w dziedzinie otrzymywanych przez wieś i przez miasto wartości kulturalnych. Miarą tych ostatnich są np. „numery wydawnictwa „Arkady", które budzą podziw swoją szatą zewnętrzną" (cytujemy za „Gazetą Polską" z 11. I.), gdy na wsi jest ciemno — pod każdym względem.

„Arkady" są dzisiaj czemś więcej, niż luksusowym miesięcznikiem, wydawanym przez Państwo (przepraszam, chcieliśmy powiedzieć: przez Polską Agencję Telegraficzną), miesięcznikiem, zbliżającym artystę do przemysłu (cóż na to sam przemysł?) i vice versa (czy to prawda, pp. artyści?). „Arkady" podobno (tak oświadczył w Sejmie p. dyr. Libicki) mają zrównoważony budżet, a „jeżeli tylko część czytelników zainteresuje się zachwalaną przez „Arkady" koronką śląską, lnem wileńskim czy haftem kurpiowskim — to może w niejednej chacie znajdzie się nafta". Co do nas, to sądzimy, że jest to sposób zbyt skomplikowany, bo za pieniądze, które kosztują „Arkady", można *bezpośrednio* wprowadzić naftę do chałupy, o ile się je przeznaczy na *bezpośrednie* finansowanie skupu tkanin, wyrobów drzewnych, garnków etc. lub na pomoc dla instytucyj, owocnie już pracujących *w terenie.*

Dlatego też w „Arkadach" dopatrujemy się czegoś więcej, niż osiągnięć przynoszącej nam zaszczyt sztuki graficznej. Widzimy w nich nawet nie symbol, a konkretny przejaw *świadomej* akcji *państwowej* na odcinku kulturalnym. Hierarchja potrzeb w tej dziedzinie, o której wspomina p. Suchodolski, realizowana jest przez Państwo — od końca. W ten sposób „kapliczkowy" charakter kultury, obcy charakterowi demokratyczno - społecznemu, a narzucony władzy administracyjnej przez „Miriama", jest z całą pieczołowitością kultywowany i — rozwijany. Pobłażliwość dla dysproporcyj kulturalnych wydaje się nam gorsza od pobłażliwości w dziale reprezentacyjnym; samochody ministerjalne mają jeszcze ten plus, że na swój sposób podnoszą motoryzację kraju, czego nie da się powiedzieć o chłopskich wozach. Ale też chłopi nie skarżą się na samochody. Ich „Pamiętniki" mówią o głodzie — wiedzy, o głodzie — kulturalnym. I są świadectwem niezaspokojonych potrzeb w skali powszechnej, a nie w stylu „arkadyjskim".

z. i.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ (część II.).

Przed walką z sejmowładztwem społeczeństwo miało świadomość, słuszną lub nie (to jest kwestją do dyskusji), że poprzez Sejm posiada bezpośredni wpływ na działalność rządów, że były to zatem jego własne rządy. Rządy były w świadomości szarego człowieka emanacją zbiorową woli ogółu.

Potem doświadczenie dowiodło, że w sprawach specjalnych laicy nieraz majoryzowali swemi głosami rzeczoznawców i że powstawały z tego powodu poważne szkody. Zrodziła się potrzeba stworzenia nowej jakiejś platformy wypowiadania opinji gospodarczej w formie nieskażonej, a jednak oficjalnej. Zadanie to powierzono samorządom gospodarczym. Z wyrażaniem opinji łączy się nie tylko inicjatywa, ale także krytyka. Krytyka jest głównym środkiem samooczyszczania się organizmów społecznych. Istnienie platformy umożliwiającej swobodna krytykę stwarzało podstawy zaufania, że funkcjonowanie rządów w sprawach gospodarczych nie może prowadzić do zbyt daleko idących dowolności. Krytyka i kontrola to już prawie to samo. — Istniał jakby wentyl bezpieczeństwa.

Stało się jednak coś, co tę harmonję i poczucie bezpieczeństwa mocno podważyło. — Czynnik krytykowany w kilku wypadkach oświadczył, że sam pewnych funkcyj wykonywać już nie chce, że proponuje przejęcie ich przez krytyka i... krytyk się zgodził. — Był to moment początkowy pewnego jakby rozdwojenia stosunku społeczeństwa gospodarczego do spraw rządu. Rząd właściwy jakby utracił coś ze swej roli emanacji zbiorowej woli społecznej, a na jego miejsce wstąpił powoli nowy czynnik, nowy odcinkowy jakby rząd, który o sobie twierdził, że właśnie on jest tą właściwą emanacją.. Samorząd wchodząc na drogę faktycznego samorządzenia zatracił swój charakter krytyka i kontrolera moralnego. Wręcz przeciwnie czynnik krytykowany wziął pod swoją kontrolę samego krytyka. Zabrakło więc wentyla bezpieczeństwa i brak jego odczuwany jest w formie rosnącej fali niezdrowej atmosfery. Czynniki praktycznej pracy gospodarczej nie mają już platformy z której mogłyby skutecznie i bez obaw wypowiadać co je boli, apelować i sprawować kontrolę moralną. Sprawy faktycznej odpowiedzialności zostały fatalnie pomieszane i pogmatwane, nie tylko w zakresie wielkości odpowiedzialności, ale i jej miejsca. Osoby krytyka i krytykowanego zlały się w jedność. Rząd staje się jakby czemś osobnem a społeczeństwo czemś osobnem. Samorząd twierdzi, że jest reprezentacją społeczeństwa i z tego tytułu gotów jest przejąć jaknajwięcej funkcyj rządowych, by się stać samorządem strictu sensu, jakgdyby rząd państwa nie był także formą samorządu strictu sensu. Ostatecznie różnica uchwytna wrażeniowo dla szarego człowieka byłaby ta, że rząd państwowy jest już czemś starem i sztywnem od sklerozy, niezdolnem do naginania swoich form stosownie do rodzących się potrzeb życia, a rząd samorządu jest tym potrzebnym czynnikiem młodocianym i elastycznym. Formalno - prawnie rzeczy stoją oczywiście zupełnie inaczej, ale co to obchodzić może człowieka rządzonego.

Ostatecznym rezultatem. zwłaszcza po znanej powszechnie formie „wyboru radców bez wyborów", którzy to radcowie praktycznie nie mają żadnego prawie wpływu, jest to, że niema platformy dla swobodnego wyrażania opinji publicznej i ko-

nieczneın się staje wobec tego wołanie o ostre sprecyzowanie i obstawienie bezwzględnemi normami odpowiedzialności.

Przed kim i czem odpowiadają radcowie, urzędnicy przez nich, jako przez samorząd zatrudniani, władze samorządu, organa pochodne przez nich wyłaniane, konferencje tych organów i rady najróżniejsze, aparaty wykonawcze tych rad i t. d. i t. d.? Nie znamy, nie widzimy nawet odpowiedzialności, twierdzimy że jej niema w dostatecznej mierze. Według świadomości szarego człowieka aparat samooczyszczania nie tylko że nie działa, ale wątpliwem jest czy wogóle istnieje. Dlatego twierdzę z całą stanowczością, że pomimo iż nie mam najmniejszych zarzutów przeciwko obsłudze tego systemu, system jest zły i dopóki nie ulegnie zmianie wymaga conajmniej uzupełnienia wyjaśnieniem zakresu i wysokości odpowiedzialności i podniesienia jej norm.

Na zakończenie jeszcze słów kilka o zawodowych interwencjonistach. Sam siebie poniekąd zaliczam do grupy tych ludzi, gdyż występując w obronie interesów różnych przemysłów, pełnię nieraz te funkcje. Jeżeli mimo to liczbę interwencjonistów zawodowych stawiam jako pewnego rodzaju miarę wielkości zła, ma to swój sens. Interwencjoniści bowiem pełnią coś w rodzaju gospodarczej służby sanitarnej. Z ilości i stopnia zatrudnienia służby sanitarnej można pośrednio wnioskować o stanie zdrowia danej cywilizowanej okolicy. Przez usunięcie służby sanitarnej nie usunie się jednak samych chorób. Służba sanitarna, pomimo że znajduje najwięcej i najpopłatniejszą pracę podczas epidemji, do pierwszego ze swoich obowiązków zalicza dbałość o higjenę na powierzonym jej pieczy rejonie. Tak samo i my, stali i czasowi interwencjoniści zawodowi musimy właściwie dbać o to, by powody, dla których praca nasza mogłaby być najbardziej poszukiwaną, znikły jaknajprędzej. Musi nam na tem zależeć tem bardziej, że — jeżeli powstaje opisana przezemnie atmosfera — to często winę powstawania tej atmosfery obsługa aparatu pracującego w takiej atmosferze usiłuje przypisywać interwencjonistom. Takie twierdzenie jest równie gołosłowne jak twierdzenie przeciwne. Warunki dla powstawania atmosfery stwarza system.

Władysław Diamand.

WYJAŚNIENIE

Notatka moja w „Gospodarce Narodowej“ Nr. 1 b. r. pod tytułem „Odpowiedzialność“, a zwłaszcza wyjątki z niej opublikowane przez prasę codzienną w sposób paczący myśl przewodnią, wywołały falę nieporozumień, którą pragnę powstrzymać. Dlatego wyjaśniam, że jedynym i wyłącznym celem notatki, jest wysunięcie postulatu nowych norm prawnych o odpowiedzialności w pracy samorządu gospodarczego i kreowanych przezeń instytucyj, wszędzie tam, gdzie decyzja zależy w pewnym stopniu od swobodnego uznania. Notatka ta natomiast ani bezpośrednio, ani pośrednio nie stawia komukolwiek, jakichkolwiek zarzutów uwłaczających. Nie kwestjonuje ona niczyjej dobrej i uczciwej woli. Domysły, że chciałem między wierszami powiedzieć coś więcej, jak to co napisałem w samej treści, są błędne*).

Celem notatki była krytyka systemu, nie ludzi. System jest tak mało przejrzysty, że wspomniane np. w notatce Towarzystwo Handlu Kompensacyjnego, które powierzone mu funkcje wykonawcze załatwia w granicach możliwości systemu b. szybko i sprawnie, mimo to obwiniane jest o przewlekłość wielu spraw i decyzji dotyczących wywozu i przywozu w obrocie kompensacyjnym, lub wypłat z tego tytułu uskuteczniany ch, aczkolwiek sprawy te, poza funkcją czysto wykonawczą, już wykraczają ponad własne kompetencje tego Towarzystwa. Podobnie Centralnej Komisji Przywozu, poza stroną manipulacyjno wykonawczą, która należy do jej kompetencyj, przypisuje się także i winę zwłoki wynikającej ze spraw wychodzących poza jej zakres pracy.

Faktu, że organizacja spraw handlu zagranicznego przedstawia sobą istną dżunglę, w której z trudem tylko orjentują się nawet nieźle wtajemniczeni, nikt nie neguje. Sposobu generalnej poprawy tego systemu jeszcze nie zdołano wymyślić. Wtajemniczeni, znający od wielu lat, (podobnie jak autor) poszczególne komórki i ludzi w nich działających, wiedzą doskonale, że ludzie ci dokładają wszelkich starań by ciężki ten aparat działał jak najbardziej objektywnie i sprawnie, że bardzo poważne i uciążliwe usterki w funkcjonowaniu tego aparatu wynikają z jego struktury a nie obsługi.

Nie rozchodzi się jednak o to, że wtajemniczeni rozumieją źródła tych niedomagań. Rozchodzi się o to, że niewtajemniczeni w budowę i funcjonowanie aparatu rzeczy tych nie rozumieją i rozumieć tak łatwo nie mogą, że dlatego szukać muszą innych wyjaśnień, wyjaśnień takich, które zatruwają atmosferę na całym odcinku. Ludzie zajęci bezpośrednią pracą w życiu gospodarczem wszystkie przyczyny napotykanych trudności przypisują łatwo prawdopodobieństwu istnienia ubocznych jakichś wpływów. Tak powstaje krzywdząca atmosfera podejrzeń, która zbyt pochopnie się rozprzestrzenia. Jeżeli nie umiemy naprawić systemu musimy dążyć do tego, by conajmniej takie prawdopodobieństwo okazało się mniej możliwem. Środkiem na tej drodze i dla tego celu najprzydatniejszym jest drastyczne podniesienie norm odpowiedzialności.

Normy te nie mogą być stwarzane przez ludzi z samego aparatu, obsługującego sprawy handlu zagranicznego i inne sprawy o podobnych możli-

---

*) Gdybym miał podstawy i powody do jakichkolwiek zarzutów, zapewniam że uczyniłbym to w sposób zupełnie wyraźny i zdecydowany, podobnie jak zwykłem zawsze występować.

wościach decyzji według własnego uznania. Normy takie zaprojektować powinny te czynniki, które stworzyły cały system, czyli te sfery gospodarcze przedewszystkiem, które tworzą tak zwany samorząd gospodarczy*).

Władysław Diamand.

*) Proszę te pisma, które umieściły wyjątki z treści mej poprzedniej notatki, p. t. „Odpowiedzialność" (Gosp. Nar. 1 — 1936), by — w imię lojalności wobec ludzi, którzy za system nie są odpowiedzialni, a którzy wyjątkami niewłaściwie zestawionemi mogliby się czuć pokrzywdzeni — zechciały umieścić również niniejsze wyjaśnienie.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. „Zawodowa", ul. Długa 30, tel. 11.53-01.